

Krzysztof Pacuła

Przesądy Roberta Nisbeta

Sztuka i Filozofia 17, 204-210

1999

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Krzysztof Pacuła
(Warszawa)

PRZESĄDY ROBERTA NISBETA

Robert Nisbet, *Przesądy. Słownik filozoficzny*, Fundacja Aletheia, Warszawa 1998.

Sądzę, że czytelnik, którego uwagę zwróci podtytuł *Przesądów* Nisbeta (*Słownik filozoficzny*), i który właśnie z tego powodu zdecyduje się do nich zajrzeć, może być zaskoczony ich zawartością. Nie jest wprawdzie tak, jak pisze autor, że jego książka nie jest ani filozoficzna, ani też nie jest słownikiem, bo zagadnień filozoficznych znajdziemy w niej sporo. Natomiast rzeczywiście, jej forma jest „słownikowa” w zasadzie tylko ze względu na alfabetyczny układ haseł. Pierwowzorem *Przesądów* jest bowiem *Słownik filozoficzny* Woltera.

O odmienności tej książki od zwykłych słowników decyduje także niezwykle osobisty i subiektywny stosunek autora do omawianych zagadnień, zadeklarowany już w przedmowie. Zadanie, jakie stawia sobie Nisbet, to podjęcie próby uchwycenia naszego czasu, ale bez ambicji uzyskania obiektywnego, bezstronnego, a w efekcie bezosobowego jego opisu.

Z noty biograficznej na okładce dowiadujemy się, że Robert Nisbet jest emerytowanym profesorem Uniwersytetu Columbia oraz „ideologiem z kręgów nowego konserwatyzmu”, co chyba najwyraźniej przejawia się w szczególnej trosce o prawidłowe funkcjonowanie w społeczeństwie tradycyjnych relacji wspólnotowych: plemiennych, gminnych, rodzinnych. Konserwatyzm autora jest też dostrzegalny przy podkreślaniu roli tradycji – a więc zwyczaju, konwencji, rytuału, obrzędu oraz moralności – w kształtowaniu normalnych procesów społecznych. Nasze czasy, zdaniem Nisbeta, wyjątkowo sprzyjają powstawaniu niekorzystnych i groźnych zjawisk, które naruszają lub mogą naruszać w przyszłości równowagę owych procesów i zakłócać ich przebieg.

Do takich zjawisk należy *anomia* (postawa odrzucenia i odmowy respektowania tradycji, obrzędu, obyczaju), którą autor uznaje za jeden z najbardziej niebezpiecznych procesów społecznych, oznaczający wykozerzenie, zaburzenie ciągłości kulturowej oraz podważenie sensu istnienia.

„Anomia to ów straszny stan: stan życia amoralnego, życia pozbawionego konwencji”, powiada Nisbet, życia, które prowadzi do „relatywizmu w kwestii dobra i zła” (s. 28).

Poważne zagrożenie dla tradycyjnej, podmiotowej pozycji człowieka w świecie stanowi, zdaniem autora, coraz bardziej widoczna tendencja biurokratyzacji i centralizacji władzy oraz postępujący interwencjonizm państwowy. Nisbet stwierdza, że instytucja państwa (na przykład takiego, jak Stany Zjednoczone) ze swoim rozbudowanym aparatem urzędniczym i skłonnością do inwazyjnego wkraczania w życie obywateli oraz ambicjami możliwie szerokiego prawnego regulowania i sankcjonowania relacji wspólnotowych, jest w całości odpowiedzialna za wszystkie negatywne skutki takiej polityki, czyli, między innymi, za zniekształcenie i zanikanie owych relacji oraz wyjaławianie ich najgłębszych podstaw – *nomosu*.

Co na tym tle wydaje się szczególnie ciekawe, autor jest zdania, że groźne – zarówno w wymiarze społecznym, jak i indywidualnym – może być także niepokonane i charakterystyczne dla naszych czasów pragnienie bycia bezwzględnie oryginalnym (w życiu, w pracy i w twórczości). Nisbet powiada bowiem, że oryginalność jest to „dosyć dwuznaczna, jeśli nie oszukańcza cnota” i że „raczej rzadko wychodzi na zdrowie” (s. 234–235). Starzy mistrzowie sztuki i literatury nie pragnęli wyłącznie oryginalności – jak czynią to powszechnie współcześni artyści – ale w pierwszym rzędzie doskonałości i prawdy, co stanowi istotną różnicę. Wybitne dzieła *de facto* są oryginalne, ale oryginalność nie była bezpośrednim i podstawowym zamiarem ich twórców. Poza tym, poszukiwanie doskonałości i prawdy łączono niegdyś z rzetelnymi studiami z zakresu historii sztuki i literatury oraz z rzeczową wiedzą na temat dorobku poprzedników. Tymczasem, współczesna pogoń za oryginalnością hołduje zazwyczaj powierzchowności, ignorancji i zwyczajnej amatorszczyźnie.

W części poświęconej zagadnieniu *śmierci* pojawia się ciekawa uwaga, że współczesność cierpi na dokuczliwy *kompleks śmierci*, którego wyrazem jest na przykład szaleństwo Zachodu na punkcie zdrowia oraz gorączkowe poszukiwania skutecznych metod przedłużania życia, a także stopniowa rezygnacja z tradycji opiekowania się w gronie rodzinnym starymi, umierającymi ludźmi, na rzecz zupełnie normalnego już zwyczaju przekazywania bliskich wyspecjalizowanym placówkom. Dzisiejsze czasy są epoką *śmierci nieoswojonej* w odróżnieniu na przykład od średniowiecza, powiada autor, przytaczając Philippe’a Arièsa, i przypominając także słowa Burke’a, że „prawdziwe społeczeństwo jest na równi z żywymi wspólnotą zmarłych i nie narodzonych” (s. 321).

Geniusz natomiast stanowi błyskotliwe studium kształtowania się twórczej, erudycyjnej, refleksyjnej – wcale niekoniecznie genialnej – osobowości. Autor stara się nas przekonać, że talent, bez zapału, autentycznego zaangażowania i ciężkiej pracy, a także odpowiedniej aury, otoczenia, środowiska, wreszcie bez znajomości tradycji, historii, może tyle samo pomóc, co zaszkodzić. Przy okazji autor przypomina, że zarówno w zwykłym, codziennym życiu, jak w pracy twórczej, skromność stanowi cnotę elementarną. W naszych czasach nie grzeszącą jej nadmiarem jest to bez wątpienia cenna konstatacja, z czego wynika, że lekturę hasła *geniusz* należałoby polecić każdemu młodemu, ambitnemu i twórczemu człowiekowi.

Bohaterowie tymczasem to próba zdemaskowania mitu wielkich demaskatorów: Darwina, Marksa, Freuda. Nisbet w swych rozważaniach o bohaterach stara się wyjaśnić, w jaki sposób rodził się ów mit oraz jakie mechanizmy go kształtowały, a także – jaką rolę w tworzeniu własnej legendy może odegrać człowiek, którego ona dotyczy.

Postacią, która szczególnie często jest w *Przesądach* oceniana i krytykowana, jest jeden z twórców liberalizmu – Jan Jakub Rousseau. Nisbet darzy go chyba (delikatnie rzecz ujmując) szczególną niechęcią, bo już z pierwszych kilkunastu stron książki możemy dowiedzieć się, że zdaniem autora był to „prawdziwy twórca politycznej doktryny totalitaryzmu” (s. 16).

Na tle tego, co napisałem wcześniej, wypada mi zatem z przykrością stwierdzić, że Nisbet ma niestety dosyć nieprzyjemną skłonność do wypowiedzania zadziwiających i w istocie dosyć dyskusyjnych tez (weźmy choćby jego stosunek do egalitaryzmu; zob. s. 106 i 152). Mam wrażenie, że raczej niewielu współczesnych myślicieli i intelektualistów zgodziłoby się, że taka prosta linia, zaczynająca się od Rousseau oraz idei francuskiego oświecenia, prowadząca przez XIX wiek do totalitaryzmu, Oświęcimia i stalinowskich łagrów, jest przez Nisbeta nakreślona uczciwie i rzeczowo. Wcale nie jestem przekonany, że gdyby Rousseau żył w XX wieku, opowiedziałby się rzeczywiście po stronie faszyzmu i stalinizmu. Ostatecznie nigdzie chyba nie sugerował zasadności masowych mordów na tle politycznym i rasowym w procesie powrotu do wolności stanu natury.

Jeżeli nawet rewolucyjne idee wolności, równości i braterstwa nie sprawdziły się, spowodowały więcej złego niż dobrego (co nie wydaje mi się oczywiste, autor natomiast jest o tym głęboko przekonany), to nie jest to wina samych idei, ale ludzi, którzy nimi w nieodpowiedzialny sposób

manipulowali. To tak jak z zaawansowanymi technologiami, które – jak słusznie zauważa Nisbet – nie są ani złe, ani dobre same w sobie. Dopiero ich zastosowanie, a więc użytek, jaki z nich czyni człowiek, może podlegać moralnej ocenie.

Nisbet ma też nieprzyjemną tendencję do bardzo kategorycznego formułowania swoich opinii w sprawach, w których wskazana byłaby choć minimalna doza sceptycyzmu. Wątpliwe wydają mi się tezy w rodzaju: „jedynym twórcą zarówno ładu społecznego, jak wolności jest tradycja” (s. 172). Jest to, moim zdaniem, wyjątkowy przykład zaskakująco wąskiego pojmowania obu zagadnień, kompletnie lekceważącego inne rozwiązania i pomysły. Tradycja, przy całym szacunku do niej, może w takim samym stopniu człowiekowi pomóc, jak też go unieszczęśliwić. Do przeszłości trzeba mieć przede wszystkim zdrowy dystans. Nie można od nikogo oczekiwać czołobitności i bezwzględnej pokory wobec jego przodków oraz ich dokonań. W pierwszym rzędzie dlatego, że nie wszystko, co związane z tradycją, jest rzeczywiście wartościowe, słuszne i godne uwagi.

Nisbet bardzo często sam nie stosuje się niestety do swoich własnych zaleceń zachowania umiaru oraz zdrowego rozsądku w postępowaniu i ocenach. Być może postępuje jak ów drogowszak, który nie chadza wskazywaną przez siebie drogą, a być może w pewnym momencie po prostu zabrakło mu mądrości i jasności spojrzenia. Wypowiadając opinie na temat powyższych kwestii, bezkrytycznie wychwalając zalety konserwatyzmu i równocześnie bezwzględnie gromiąc liberalizm, jest po prostu irytującym stroniczy.

Dziwny i niezrozumiały wydaje mi się stosunek Nisbeta do indywidualizmu. Autor pisze za Comtem, że indywidualizm jest „chorobą Zachodu”, bo po społu z liberalizmem powoduje rozkład rodziny, wspólnoty, kościoła, więzi sąsiedzkich. Pisze także, że „w oczach współczesnych Amerykanów indywidualizm jest (...) rozproszkowaniem ładu społecznego (...) w coś, co w najlepszym razie przypomina bezładne usypisko luźnych odłamków, w najgorszym zaś dżunglę zamieszkiwaną przez samotnych, ale zajadłych drapieżców” (s. 149). Znow należałoby przypomnieć, że to raczej nie sam indywidualizm jest winien, ale poszczególni ludzie. Jestem głęboko przekonany, że indywidualizm nie wyklucza normalnego, zdrowego stosunku do rodziny, przyjaźni i społeczeństwa. Wyklucza i wypacza taki stosunek konkretny człowiek, na mocy wolnej woli i prawa swobodnego wyboru, a konserwatywne zakłęcia go przed tym nie powstrzymają.

Pośrednio wyraz swej niechęci wobec indywidualizmu Nisbet daje także, określając studencką rewoltę lat 60. mianem *Epoki Wandali* (s. 137).

W oczach autora był to bowiem czas powszechnego regresu – niszczenia tego, co jeszcze zostało się z tak zwanej amerykańskiej tradycji i obyczaju – okres zepsucia i destrukcji tej wspaniałej rzeczywistości, którą po wojnie tworzyło jego pokolenie.

Być może lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte faktycznie były ostateczną klęską tradycyjnej moralności. Być może jednak wspomniana wcześniej nisbetowska koncepcja ładu społecznego i wolności, połączona z małomiasteczkową atmosferą amerykańskiej prowincji oraz dusznym przywiązaniem do martwej religii i koturnowej tradycji, tak jak dziś nie stanowi atrakcyjnej propozycji dla mnie, tak i wówczas młodym ludziom po prostu nie wydawała się atrakcyjna i zdrowa.

Warto też dodać, że działalność amerykańskich organizacji pacyfistycznych w latach sześćdziesiątych miała znaczny wpływ (jak przynajmniej utrzymują dzisiaj uczestnicy i świadkowie tych zdarzeń) na to, co działo się pod koniec tego okresu w Europie Zachodniej i Wschodniej, w tym w Polsce. Mało tego, także moje „pokolenie” (wraz z ludźmi trochę od nas starszymi), funkcjonujące w pseudo-anarchistycznych, punkowych realiach lat osiemdziesiątych, powołuje się na owe amerykańskie, pacyfistyczne „korzenie”, choćby dlatego, że to właśnie wtedy wprowadzono do obiegu pojęcie kontrkultury, czy kultury alternatywnej. Wydarzenia lat sześćdziesiątych budują zatem świadomość i wyobraźnię drugiego z kolei pokolenia! Słuchaliśmy tej samej muzyki, czytaliśmy książki i oglądaliśmy filmy, które powstały w tamtym okresie. Nawet jeżeli ta fascynacja była nieraz powierzchowna, naiwna i niedojrzała, stanowi fakt, który nie jest całkowicie pozbawiony znaczenia.

Podstawową ideę owych hipisowskich – a w istocie pacyfistycznych – organizacji stanowił sprzeciw wobec absurdu wojny wietnamskiej, wyniszczającej oba narody. Zapewne nie mógł pojąć sensu takiego protestu – buntu młodych ludzi przeciw składaniu absurdalnej ofiary ze swojego życia – ktoś, kto napisał dziesięciostronicową pochwałę dobroczynnego wpływu wojny na gospodarkę i nastroje społeczne, raczej niewiele wspominając przy tym o jej bezmyślnym okrucieństwie, pustoszącym świat i ludzkie serca.

Od Nisbeta dowiadujemy się bowiem, że „aż po nowożytność wojna – i wszystkie jej okrucieństwa (...) była dla ogromnej większości ludzi jedynym dostępnym lekarstwem na nudę” (s. 335); zatem o ile ci „les philosophes francuskiego oświecenia, którzy twierdzili, że wojna jest wrogiem intelektualnego i kulturowego postępu, mówili to w dobrej wierze, byli po prostu głupi bądź ślepi” (s. 337), bo przecież „wojna jest

matką karmicielką nauki i wynalazczości (...) w szczególności medycyna czerpie z wojny korzyści poznawcze, których nie sposób przecenić. Szpital wojenny jest niemożliwym do pomyślenia w warunkach pokojowych poligonem sprawdzania nowych technik chirurgicznych” (s. 338), a poza tym „wojna ma wspaniałą kartę jak idzie o stymulację rozwoju gospodarczego” (s. 339), przy czym nie jest dla autora rzeczą specjalnie istotną, że za ten „poligon”, za tę „wspaniałą kartę”, za owe „osiągnięcia” płaci się daniną z żywych ludzi, wyniszczeniem potencjału innego kraju lub krajów, co być może cofa je w rozwoju o półwiecze albo nawet jeszcze dalej. To wszystko nie ma większego znaczenia, bo przecież wojna jest „szafarką ogólniejszej świadomości uczestnictwa w czymś wielkim, jeśli nie głęboko moralnym” (!) (s. 344).

O wszystkich dobrodziejstwach wojny zaświadcza sam Nisbet. Gdy otrzymał oficjalne odroczenie, a Stany Zjednoczone zostały wciągnięte w koszmar II wojny światowej, sam, z własnej woli, zgłosił się na ochotnika (o czym nas z dumą informuje) i pojechał na wojenkę w charakterze żołnierza i... turysty zarazem, trawiło bowiem go pragnienie poznania fascynujących rejonów świata, o czym przedtem mógł jedynie marzyć. Wraz z przystąpieniem USA do działań wojennych zyskał zatem jedyną w swoim rodzaju okazję. Mógł poznać interesujących ludzi i zabić ich, zobaczyć na własne oczy piękne miejsca i je zniszczyć, a wszystko to na koszt amerykańskiego podatnika, w majestacie prawa wojennego, w glorii i chwale słusznej sprawy.

Siedząc w wygodnym fotelu za uniwersyteckim biurkiem, można wymyślić każdą bzdurę, ale są granice absurdu, których nie powinno się przekraczać. Jeżeli człowiek zaczyna unosić się w oparach kompletnej abstrakcji, to łatwo dojść do tak nonsensownych wniosków, do jakich doszedł Nisbet. Śmierć jednego człowieka nie jest warta tych wszystkich gospodarczych „cudów”, tego technicznego „postępu”, jakie ma ponoć przynosić wojna. Udział w II wojnie światowej przypłaciły życiem miliony ludzi. W wojnie wietnamskiej zginęło co najmniej kilkaset tysięcy. Dlaczego Nisbet nie wspomina o tym nawet jednym słowem?

Uwagi o wojnie, a także równie wątpliwe i skrajne opinie autora dotyczące innych zagadnień, przesądzają o dziwnym charakterze *Przesądów*. Chciałem początkowo stwierdzić, że książka jest kontrowersyjna, ale określenie to z czasem nabrało przecież pozytywnego znaczenia, *Przesady* zaś stanowią po prostu publikację dziwną i nierówną, bo możemy znaleźć tam zarówno mądre, rozsądne uwagi, jak i naprawdę wątpliwe, supersubiektywne i aroganckie tezy.

Książka zawiera niestety sporo takich uwag, które są już zwyczajnie nieaktualne, co pozwala żywić dodatkowe wątpliwości co do współczesnej wartości *Przesądów*. Gromiąc ekologizm, Nisbet twierdzi, na przykład, że nie ma żadnych rozsądnych argumentów przeciw wytwarzaniu energii atomowej. Technologia produkcji energii tego typu jest – zdaniem autora – całkowicie bezpieczna. Jak dziś wiemy – raptem w kilka lat po opublikowaniu książki w Stanach – miała miejsce tragedia w Czarnobylu, która całkowicie rujnuje tę tezę.

W moim odczuciu, stronicza i chybiona jest także próba podsumowania XX wieku. Nisbet stwierdza bowiem, że był to jednoznacznie okres nihilizmu, militaryzmu, licznych wojen i rzezi. Moim zdaniem, w co najmniej takim samym stopniu była to (i jest nadal) epoka tryumfu Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka, o czym także warto pamiętać.

Podsumowując powyższe uwagi, trzeba stwierdzić, że oprócz sporej liczby bardzo interesujących, ale niezwykle trudnych do wyselekcjonowania haseł, *Przesady* zawierają również potężny ładunek aroganckich bzdur, co nawet w przypadku spokojnego i umiarkowanego czytelnika, być może, przesądzi o rezygnacji z trudu studiowania tego słownika filozoficznego.